



PISMO TYGODNIOWE ILLUSTROWANE DLA KOBIEĆ.

Prenumerata w Warszawie:

We wszystkich księgarniach i kantorach pism peryodycznych po cenie: rocznie rsr. 7 kop. 20; półrocznie rsr. 3 kop. 60; kwartalnie rsr. 1 kop. 80; miesięcznie kop. 60.

Prenumerata w Cesarstwie i Królestwie:

kwartalnie rsr. 2 kop. 50; półrocznie rsr. 5. rocznie rsr. 10.

Wydawca MICHAŁ GŁOCKSBERG.

EXPEDYCJA GŁÓWNA W KSIĘGARNI WYDAWCY

Ulica Królewska Nr 5.

W Cesarstwie Austriackim we Lwowie u Gubrynowicza i Schmidta kwartalnie flor. 3; na prowincyi z przesyłką pocztową flor. 3 cent. 80. W Krakowie: u D. E. Friedleina, kwartal. flor. 2 cent. 75; na prowincyi z przesyłką pocztową flor. 3 cent. 50.

W W. Ks. Poznańskim: u Leitgebiera i Spół., kwartal. tal. pr. i sgr. 20.

PO WAKACYACH.

Uleciały ptaszki z gniazdka! Ta radość, rozkosz domu, ten jego śmiech wesół—melodyjny gwar głosów młodych, już się nie rozlega między nagle cichymi ścianami, nie gra słuchowi rodziców najczulszą muzyką życia. Po dniach tego słodkiego szczęścia, gdy matka mogła zawołać, jak Kornelia Rzymianka, że oto ma w koło siebie wszystkie swe skarby drogie, przychodzi na nią, prócz żalu rozłączenia, niepokój tej myśli ciężkiej:—A jak tam dzieciom moim będzie z daleka odemnie? Z czem się tam spotka ta młodość niedoświadczona, której przecież życie przedsmaku swego kosztować już każe? Serca matek, zwłaszcza w stosunku do synów, przechodzić muszą dwa postrachy okrutne. Czy ich dziecko ukochane przy pierwszym zetknięciu ze światem, w warunkach często ciężkich dla słabej jeszcze, niezahartowanej natury młodej, nie okaże nagle niskich, upadających instynktów egoizmu? Czy naodwrot z szalonym, bezrozumnym zapalem szlachetnej młodości rwać się nie będzie ku ideałom swoim, jak motyl ku płomieniowi? Tu matka może tylko podnieść ku Niebu wzrok, łaski błagający, i następnie stać już na gruncie obowiązku, na gruncie świętej powinności macierzyństwa: według prawdy i sumienia duszę dziecka swego urabiać i bez względu na wszystkie poboczne okoliczności życia serce jego dla cnoty i powinności otwierać, podnosić je ku wysokim, szlachetnym celom ludzkiego na ziemi istnienia.

Gdy wakacje skończone znowu ją w domu sa-

motną zostawia, najpierw zacząć powinna od ścisłego ze sobą obrachunku, czy czasu tego dobrze użyła—czy zbadła dostatecznie stan tak fizycznego, jak duchowego zdrowia dzieci swoich, czy była dla nich w macierzyńskiej swej miłości dość rozumną, a w wychowawczym swym rozumie dość tkliwą, aby zażegnać wszelkie zło, jakie w tych młodych organizmach zakiełkować mogło? Toż przecież szkoła w tym celu uczniów swoich domowemu ognisku na czas jakiś zwraca, w tym celu mu ich oddaje, aby naprawiły się wszelkie możliwe szkody, wynikłe z oderwania dziecka od rodziny—od wpływu i opieki rodzicielskiej. Troskliwa o to myśl pedagogiczna stworzyła wakacje, które nie mają być jedynie wypoczynkiem młodego umysłu po trudach pracy naukowej, bo człowiek, zwłaszcza w chwili kształcenia się swego, to przecież nie sam umysł tylko, i tak fizyczna, jak uczuciowa istota dziecka powinna się w tej przerwie prac szkolnych świeżym prądem żywego życia ukrzepić, wzmocnić, skąpać się w jego wrażeniach, wzruszeniach serca zbawiennych—odżyć całą swą pełnią. Ojciec i matka mają też przed sobą w czasie feryi szkolnych niemalej wagi obowiązek: obowiązek niekończący się przecież z terminem wakacyjnym, i powrót dziecka do szkoły nie powinien nigdy rozluźniać nietylko węzłów uczucia dziecka podtrzymujących, ale i węzłów wpływu wychowawczego, który rodzice w rękach swoich zawsze silnie dzierżyć powinni. Taki ojciec, taka matka, którzy na rzecz szkoły, na rzecz jej nauczycieli, z tego obowiązku abdykują, abdykują z najwyższej rodzicielskiej godności kierowników moralnych dorastającego dziecka swego, i niech też nie dziwią się potem, jeżeli w synu swoim, w córce swojej, nie znajdują ludzi według serca i pragnienia swego. Muszą to być istoty duchem im obce, duchem do nich nienależące, i często też między rodzicami i dziećmi tak wychowanymi, nie istnieje żadna nić sympatyj wspólnych, któ-

rabę ich ze sobą łączyła, gdy przeciwnie wszystko ich dzielić może: wiary, nadzieje, życia ideały święte. Rodzice tacy nie zostawiają też po sobie społeczeństwu swemu następców pracy i dążeń—rodzice tacy schodzą ze świata bezpotomnie!...

Aby tak nie było, musi istnieć między dziećmi i rodzicami „duchów obcowanie”—apostolskie kładzenie dłoni gorących na młode głowy pochylone. Matka, zmuszona oddać dziecko zdaleka od siebie, powinna pisywać, utrzymywać z niem stale korespondencją listowną, za której pośrednictwem jej syn, jej córka, spotykałoby się ze wskazówkami, radami, przestrogi macierzyńskimi, a która przynosiłaby im zarazem coś więcej jeszcze, coś może ważniejszego nad to wszystko, bo ciepło domowego ogniska, woń rodzinnego zakątka—tradycją ojczyzną, której nie wyprze się potem nigdy człowiek tak wychowany. Siła to ogromna, zachowująca panowanie swoje, nietylko nad chłopcem, nietylko nad młodzieńcem, bo idzie ona za nim w życie i nie opuszcza nawet męża, któremu włos srebrzyć się zaczyna u skroni. Tkliwa wdzięczność za wychowawczą pracę rodziców jest jednym ze składowych żywiołów tego stanu uczucia: syn pamięta czułą troskliwość matki o niego: pamięta jej poświęcenia dni i nocy swoich, jej miłość bez granic, już też potem w praktyce życia głos jego nie będzie nigdy negacją uczucia i idei rodziny.

Edward Hüekell, w swojej wybornej choć na szkodę czytającej publiczności naszej wyczerpanej, książce: *Zarys pedagogiki*, uważa przywiązanie syna do matki za jedną z najpotężniejszych dźwigni w wychowaniu młodzieży. Ostrzega przed jej nadużyciem, bo wtedy rozmiękcza, rozhartowywa ona mężkość chłopca; ale niemniej uznaje, że w wielkich, stanowczych momentach wychowania—w wielkich, dla młodego, wyrabiającego się ducha stanowczych zwrotach, gdy w pojęciach panuje zamęt, a namiętności ścierają się w piersi wzburzonej,—działa ona tak silnie,

tak zwycięzko, jak może żadna inna. Że musi łączyć się z tem szacunek wielki, głęboki szacunek dla charakteru tej matki ukochanej, że to ukochanie samo musi koniecznie polegać na tym szacunku, opierać się na nim, jak budynki na podwalinie swojej—to już rzecz logicznie naturalna, wątpliwości nieulegająca.

Ale jest jeszcze jeden warunek, przez który wpływ matki na dorastające dziecko podnosi się albo obniża: to wyrobienie jej umysłowości. Matka wykształcona, której myśl z myślą syna młodzieńca na odpowiednim gruncie rozumowania spotkać się może, matka, która tego syna tak zdolna jest pojąć umysłem, jak kocha go sercem: matka taka, to dopiero prawdziwa wychowawczyni i kierownicza moralna, bo nie utracą ona kierownictwa tego w tej chwili, właśnie najważniejszej, gdy to jej dziecko zaczyna już czuć i myśleć samodzielnie, gdy wpajane mu przez wychowanie pojęcia i przekonania zaczyna własnym rozumem rozbiierać, i albo je na własność swą duchową zachowuje, albo odrzuca i w tyle, poza sobą, zostawia.

Bardzo wiele najlepszych nawet matek zadaniu takiemu sprostać nie może. Ich własne wychowanie nie przygotowało ich do tego: z małym zapasem wiedzy, z myślą nieuzdolnioną do wyższego polotu w sfery ducha, do głębszego wejścia w życie i sprawy ludzkości, stanęły one wobec wielkiego obowiązku macierzyństwa, zdane niemal na łaskę i niełaskę losu, bo często tylko instynkt macierzyńskiego uczucia na całą pomoc, na jedyną busolę swą posiadając. Ale właśnie przez ten instynkt miłosny, przez to uczucie, które w kobiecie może nad wszystkie inne się podnosi i wszystkie inne przerasta—przez miłość dziecka, ta, która matką zostaje, powinna się poczuć do wszystkich braków, do wszystkich tych niedostatków swoich, które jej stanąć mają na drodze w przekazaniu jej przez naturę i społeczeństwo dzieła wychowania. Wszystko, co jest w niej wiadomością dobrego i złego, winno się w niej wzruszyć i do głosu przycho- dząc, zawołać na nią z głębi duszy, aby odpowiedziała uczciwie obowiązkom swoim i miłościom swoim—aby się nauczyła być dobrą matką nie tylko z krwi i ciała, ale z ducha: z woli i samowiedzy jego rozumnej. Rzecz to jest w społeczeństwie każdym tak ważna dla całego ogółu, że kobieta spotyka się też na tej drodze swojej z mnóstwem rad i wskazówek, z mnóstwem książek, pisanych z zamiarem rozszerzenia wychowawczej wiedzy matek; przeciw myśl przygotowania jej samej do tego, aby mogła być tu dobrym, myślącym działaczem, jest poniekąd nową w dziedzinie pedagogii. Podniosły w swoich poglądach na kobietę i dzieło wychowania macierzyńskiego pedagog i akademik francuzki, biskup Dupanloup, tak pojął postępek w edukacji i z tą myślą napisał znakomitą swą książkę: *La femme studieuse*. Jest to jak gdyby przewodnik kobiety zamężnej i naczelniczki rodzinnego ogniska, wskazujący jej jak powinna umysł swój pielęgnować, wiadomości naukowych na zatracenie zapomnienia nie oddawać, za rozwojem wiedzy ludzkiej myślać postępować. Nie ma to być według wzoru tego kształcona kobieta naukowa, *la femme savante*, ale kobieta niezapuszczająca umysłu swego odłogi, kobieta, dla której nauka nie jest obojętną, a ruch myśli ludzkiej, w tę naukę wcielony, ma wysokie swe znaczenie i interes ciekawy. Jest to, jednym słowem, kobieta, która chce życie w jego najwyższych objawach znać, chce być świadomą spraw umysłu ludzkiego, i dlatego czyta, obznajamia się z nowymi ideami, z nowymi metodami myślenia, i oto, gdy wybija dla niej godzina wielkiego obowiązku, gdy zostaje matką, powinności jej macierzyńskie nie zostają jej w ciemności i niemocy umysłowej. Matka syna pragnie sobie zapewnić nieprzerwane obcowanie jego myśli z jej myślą i wylanie się jednej duszy przed drugą, wśród którego młodszą: niespokojna, ciekawa, już przez tęsknoty i przecucie życia żyć poczynająca, odsłania się przed tamtą, starszą, która rozwój młodych myśli, młodych uczuć w ich wyrażeniu czujnie śledzi i delikatnie, z łagodnością kobiety, z tkliwością matki umie być przestroga, rada, wskazówką. Kry-

tyka, nawet wychodząca z łona stronnictw, na innym polu sprzeczących się z autorem, oddała książce wysokie pochwały, jako wybornemu wzorowi dla kobiety takiej, która przez rodzinnych, macierzyńskich obowiązków wykonanie chce odpowiedzieć zadaniu szlachetnej istoty ludzkiej, szlachetnej kraju swego obywatelki. Książka rektor Chełmicki, na wielki społeczeństwa naszego pożytek, na wielką pomoc kobiet naszych, dobrą tę książkę przełożył, w pięknej, czystej polszczyźnie im ją podał—i bogdajby znalazła się w ręku każdej matki—po wakacjach, to jest w tej chwili właśnie, gdy świeży żal rozłączenia z dzieckiem czyni ją skłonniejszą do przyjęcia w serce tego, co ztamtąd głosem dobrej rady, głosem szlachetnego natchnienia się odezwie, jak w nieprzerwanej zamianie uczuć i myśli z synem swoim trwać powinna i u tego przełomu życia, w którym chłopiec w młodzieńca się przeobraża, jaśnieć mu gwiazdą przewodnią na niebie najświętszych człowiekowi wierzeń i uczuć.

Tosamo powinno być w wychowaniu córki. Tu mniej troski i niepokoju, bo mniej tych dróg rozstajnych, które się krzyżują między matką a synem, nagle z nią rozłączonym, od jej serca i pieczy rodzicielskiej oderwanym. Ale i dusza dziewczęca: myśl, uczucie dziewczęcia mają swoje rozdroża i manowce, przepaści swoje przed umysłem i sercem otwarte. Matce wiedzieć o tem należy, należy o tem pamiętać i brać w rachunek moment czasu, w którym żyjemy. Co nowe pokolenie, to trudniejsza droga życia; dziś idee ścierają się ze sobą, idee ze sobą bojują, i matki to obowiązek, większy niż był kiedykolwiek, z każdym dniem wyżej rosnący, aby stając na straży ducha córki swojej, uchwalała go zasadzie naszej rodzinnej, nie dopuściła oderwania się sercem od niej, zaprzeczenia jej świętemu ideałowi. Syn na pracę życia musi iść daleko od domu, ale córki w najważniejszą liczbę wracają do gniazd rodzinnych i tu zaczynają pierwszą życia praktykę. Chwila to ważna, stanowiąca o całej przyszłości, bo o jej kierunku, który tu bierze pierwsze swe nagięcie—zaczyna być w zarysie pierwszym wytyczną linią tej drogi, która ma wieść istotę młodą do obranego celu.

Pierwsza chwila powrotu dziewczęcia pod dach rodzicielskiego domu, jest zwykle, jak też być powinno, radosnym świętem rodziny. Jest to jakby wesele jej pierwsze—wesele jej dziewictwa: bo oto ona, już do życia dorosła, staje przed matką, przed ojcem, w całej pełni sił młodych, w całym rozkwicie wiosennej swej krasy. Nigdy piękniejszą, swobodniejszą, nigdy może szczęśliwszą, nie będzie, a że jej jeszcze trochę pustoty dziecięcej mieć wolno, że jej wolno przytem od- począć sobie nieco po ostatnich trudach, szkolnej kampanii egzaminowej—jak ptaszek wolnymi skrzydełkami strzepnąć, śmiać się do słońca, do kwiatka, długiej sukni dorosłej panny wesoło przymierzać i kąty ukochane rodzinnego domu witać—witać wspomnienia i ludzi, co do niej przyjaźnie dłoń wyciągają: więc zwykle następują dla niej jeszcze jedne, ostatnie wakacje, które przeciw swój kres, swój koniec wkrótce mieć powinny. Po tych wakacjach, które jej i serce matczyne dać pragnęło, musi nastąpić chwila poważna: musi wziąć swój początek to, do czego uzdolniła ją szkoła i wychowanie macierzyńskie—praca, mająca ją związać przez swój cel, przez owoce swoje z ruchem ogólnym jej społeczeństwa, z jego myślą i potrzebami. Młoda dziewczyna jest w tej chwili jak ta żniwiarka, która porankiem dnia letniego wychodzi na łan ojczyzny z sierpem na ramieniu. Teraz jeszcze ożywczy wietrzyk przewiewa, i blaski światła są różowe: czy przeciw nie przyjdzie skwar, który skronie uznoi, czy nie przyjdą burze i gromy—pioruny z wężami ognistymi? Może, ach! może... ona jednak musi swój zagon pożyć, swój snop zbierać, aby nie została bez zarobku żadnego,—robotnica nieporadna z rękami próżnymi!

Są i takie, które się bawią do zachodu słońca zbieraniem modrych bławatków i maków ponsowych, ale i te wieczorem nic nie mają, prócz trochy zwidłego kwiecia.

(Dokończenie nastąpi).

W OKRUTNEJ CHWILI

(przekład z angielskiego).

Po błękitnej ślizgając się fali,
Dwa okręty odbiły od brzegu,—
Coraz dalej—coraz, coraz dalej
Ton zdradliwa unosi je w biegu;
W głębi krwawy słońca krąg zapada,
Wschodzi księżyc—nocy lampa biała.—

Na wybrzeża pustkowiu samotnem
Dwie niewieście postacie zostały;
Wiatr im włosy rwie tchnieniem wilgotnem,
Jedna precz z nich szarpie rąbek biały,
Rece łamie, i szlocha, i płacze:
—Nie zobaczę go już! nie zobaczę!...

Druga stoi jak posąg z kamienia,
W drżące dłonie ukryła twarz zbladłą:
Nie chce, by jej obraz rozłączenia
Padł na duszy rozdartej zwierciadło.
Jeszcze w śmierci ostatniej godzinie
Będzie widzieć tego, co wdał płynie.

M. I.

WYSTAWA EDUKACYJNA MIĘDZYNARODOWA

i kongres edukacyjny w Londynie.

(Dokończenia).

W sekcji „pierwszego wychowania i nauczania” głosy kobiece odzywały się przeważnie; zatem powiedzieć trzeba, że było, jak być powinno: że kobieta zajęła tu stanowisko należne sobie, stanowisko, które ją obowiązuje, i z którego wywiązała się dobrze, bo najpoważniejsza krytyka przyznała referentkom gruntowność i znajomość przedmiotu—troskliwie wnikanie w naturę dziecięcia i w stosunek pierwszej jego nauki do rozwoju umysłowego i inteligencji człowieka. Trzy najznakomitsze z nich (w tej sekcji) Manning, Heerwart, Schraeder, traktowały przeciw jak-gdyby jeden i tensam przedmiot, bo wszystkie trzy komentowały metodę Fröbela i wykazywały wysokie jej korzyści, zwłaszcza w zastosowaniu do publicznej edukacji pierwszego dzieciństwa. Referat miss Manning, blizkiej krewnej kardynała, który też brał udział w kongresie i należał do jego mówców, zwrócił uwagę szczególną, bo dotyczył samej treści podniesionego przedmiotu: „Co Fröbel uczynił dla dziecka?” Podnosząc i rozwijając praktycznie edukacyjną ideę, którą Pestalozzi pierwszy podał, może za-czerpnąwszy myśl do niej z Rousseau, Fröbel dał światu metodę, która idąc za wskazówką natury, za śladem pierwszych budzących się w dziecku pragnień—nieprzeparłej potrzeby ciągłego zajęcia,—stała się podstawą dzisiejszego systemu edukacyjnego. Ponieważ zajęcie dziecka nie mogło wydać przez owoce swoje żadnej rzeczy praktycznie użytecznej, nazwano to zajęcie zabawką i traktowano je jako zabawkę: tkliviej i staranniej tam, gdzie władza wychowawcza była tklivszą i staranniejszą o dobrobyt dziecka, ostrzej, surowiej, gdzie tego brakło. Fröbel wykazał matce i wychowawczyni, że dziecko przez popęd naturalny pragnie rozwijające się zdolności swe zużytkować—pragnie ćwiczenia, wyrobienia sił swoich, i że ta jego chęć zajęcia jest taką samą potrzebą kielkującej już myśli, jak głód fizyczny, który najmłodsze dziecko płaczem objawia. Starsze płacze, gdy mu odbiorą coś, co drze, coś, co psuje, coś, co pragnie koniecznie do-

tknąć, zblizka obejrzeć—płacze, gdy mu każą być grzecznym w znaczeniu bezczynnie spokojnego trzymania się w kąci. Ma ono pragnienie instynktowne ruchu fizycznego, potrzebnego mu do wyrabiania się mięśni, i to jest u niego podobnym do upodobania małych zwierzątek. I pieski, i kotki młode są tak ruchliwe, figlarne jak dzieci, ale pieski i kotki nie mają takich, jak dziecko, chęci budowania domów z piasku i patyczków, nie są ciekawe i nie ruszają wszystkiego, co im podpadnie pod oko, bo nie mają tego świtania już ludzkiej inteligencji, ludzkiej myśli, która sobie przedmiotu zajęcia szuka. Kotek pochwyli czasem kłębek nici i roztargano, ale to dlatego, że jego młode łapki pragną też instynktownie ćwiczyć się do tego zdradliwego ruchu, który kiedyś będzie mu pomocnym w łowieniu myszy; dziecko zaś, jeżeli rozwinię kłębek, to ciekawem jest zobaczyć: co tam znajduje się w środku, lub dlatego, że je bawi, to jest zajmuje, zmiana, jakiej dany przedmiot w oczach jego ulega. Dziecko, które nianki szkodnym nazywają, jest—to dziecko ciekawe, dziecko, które czuje potrzebę budzącej się w niem czynności, które chce tworzyć i zaczyna od tego, że przetwarza. Płacze ono nici, pruje zaczęta robotę matki, obrywa dany mu kwiat, aby sobie listki jego układać, lub je rozrywać. Fröbel podслушал zachęcenia młodziutkiej myśli i rozumiał je; zapragnął użytkować dla celów edukacji, i jak miss Manning powiedziała: „Spostrzegł on, że życie jest nierozzerwalnym łańcuchem, i pierwsze lata tego życia nabrały w jego oczach takiej ważności, takiej powagi i ceny, jakiej mieć nie mogą, gdy się je obserwuje, biorąc oddzielnie. Doszukał on się w najmłodszym dziecku każdej zdolności człowieka. W oznajmijającej się pierwszej chęci działalności jego, w pierwszym objawie zamierzonej czynności, i doszedł do przekonania, że pierwszy ruch stanowi o kierunku drogi, fundamenta o budynku. Porównanie brał z życia rośliny: jak na każdym stopniu tego życia stanowi ona jakąś wdzięczną całość, tak powinno dziać się z istotą ludzką. Niemowlę musi być czas jakiś niemowlęciem; dziecko—dzieckiem według natury swojej rozwijającym się przeciw.”—Miss Manning wykazywała z kolei, jak Fröbel rozwijał w praktyce edukacyjnej tę teorię swoją: jak zadosyć uczynił potrzebę czynności i zarazem odpoczynku dziecka, i jak wychowywane według jego systemu może się ono rozwijać w warunkach naturalnych—piękne, zdrowe, szczęśliwe i wesołe.

Jako przykład urozmaiconej i zajmującej pracy dziecinnej w ochronkach, czyli „ogródkach” fröblowskich, przedstawione tu zostały okazy wystawy z oddziału belgijskiego; a przeciw wielu pedagogów, angielskich zwłaszcza, podnosiło i podnosi dotąd głos właśnie przeciw tym robotom dziecinnym, tak zwanym Zabawkom Fröblowskim. Zasada Fröbela jest doskonała — jest rozumna i uzasadniona, ale praktyka zupełnie się z nią rozmija i bynajmniej nie licuje z założeniem. Od Anglików wyszedł pierwszy protest przeciw ujęciu w kluby systematyczne pierwszej dziecka czynności, co zabija w młodej istocie inicjatywę i siłę fantazyi twórczej, wyrabia ludzi, z których jak się wyraził przed laty kilku szkocki pedagog, Robert Mac Clellan, łatwo jest potem wyciągać pod sznur szeregi żołnierzy Bismarcka. Okulary, w które potrzeba zaopatrywać tych żołnierzy, są też według Mac Clellana następstwem systemu Fröbela. Dziecko zamłodu jest zasadzone do pracy, wymagającej ze strony istoty niedojrzałej wyteżenia i męczącej je uwagi, co spowodowuje bicie krwi do głowy, szkodliwe między innymi skutkami swojemi i dla wzroku. Wnoszono do zarządu edukacyjnego żądanie, aby praca, czy tak zwana zabawka wykluwania deseni na papierze była wskutek tego z urzędu we wszystkich londyńskich ochronach, tak rządowych, jak prywatnych, zabronioną, i teraz właśnie podobne głosy zaczynają odzywać się w Niemczech, gdzie systemat Fröbela jest na całe państwo rozpowszechniony i liczy tyle lat istnienia, że przedstawił już dostateczne pole dla doświadczeń. Dr. Steffan, okulista, pisał w tym przedmiocie i, opierając się na danych, naukowych wykazał, że „rysowanie w siatkach, wykluwanie figur i wyszywanie tych wykluwań, wreszcie plecioni, są to wszystko

zajęcia nieodpowiednie dla dzieci tak małych, jakie uczęszczają do ochronek, i tym-to zajęciom należy przypisać przestraszenie i nigdy poprzednio nieznanne rozpowszechnienie się krótkowidztwa. Objawia się ono przeważnie w Niemczech i Szwajcaryi, czyli tam, gdzie systemat Fröbela został ogólnie przyjęty. Zarzuty te wywołały bardzo żywe i liczne odpowiedzi ze strony pedagogów niemieckich, lecz Dr. Steffan, niezmiennie obstając przy swoim zadaniu, przytacza na jego poparcie, że dziecko musi przy robotach fröblowskich pochylać się szkodliwie, gdyż żadnej z nich wykonać nie może w odległości, któraby tego nie wymagała, to jest na 35 centymetrów. Dziecko pracujące w tak niezgodnym pochyleniu zaczyna oddawać się mozolnym tym zajęciom od lat trzech do pięciu, bo taki-to wiek jest w Niemczech i Szwajcaryi wiekiem uczęszczania do ochronek, czyli ogródków Fröbela. Wprawdzie dziecko powinno według metody Fröbela zaraz potem pobiegać lub oddać się grom ruchliwym i wyprostować członki, ale nawet przy sumiennem wykonywaniu tego nakazu w ochronkach dobrze prowadzonych nie usuwa się jeszcze szkody organizmowi wyrządzanej, bo widzimy z okazji przy popisach rocznych przedstawianych, ile-to robót takich dzieci ochronki każdej wytworzą w ciągu kursu szkolnego.

Ani Fröbel, ani Pestalozzi, który roboty podobne, rysowanie w siatkach — nakazał, nie byli zdolni sądzić o rzeczy z punktu zapatrywania się lekarza okulisty, a przytem okulistyka nie stała w tamtych czasach na stopniu dzisiejszej wiedzy.

Kraszewski, który lekarzem nie jest, został jednak już kilka lat temu smutnym tem pochylaniem się dziecka, tem pracowitem jego zajęciem uderzony, i zanim ktośkolwiek przeciw metodzie Fröbela głos podniósł, on pierwszy zwrócił uwagę na wady tego edukacyjnego systemu, który w praktyce odbiega bardzo daleko od ideału teorii Fröbela. Że dziecko nie z chęcią, nie z naturalnego pociąga do zajęcia, jaki niewątpliwie uczuwa, dokonywa robót fröblowskich, dowodzi fakt, przez Kraszewskiego w jednej z ochronek dreźnieńskich zaobserwowany. Ochroniarka przy tych robotach, które mają niby-to być użytkowanymi dla celów wychowawczych zabawkami, kładła na główeczki biednej dziatwy papierki, których nie wolno było z tych główek w niebacznie swobodnym ruchu zrzucić, i maleństwa te tak dobrze wytressowanemi zostały, że przez zapomnienie jeszcze z takimi papierkami wychodziły na podwórze ochronki, gdy przyszła chwila powrotu do domu. Nie wszystko to, co daje szkole pozór doskonałego prowadzenia dzieci, okazuje się w doświadczeniu dalszem doskonałym skutkach swoich, i szkoła nie jest dla szkoły, ale dla życia, do którego ma kształcić człowieka. Dr. Steffan mógł szczęśliwie w dotykany już sposób wykazać, co w metodzie Ogródków Fröblowskich, jako złe uznał.

Na londyńskim kongressie nikt przeciw przeciw metodzie tej głosu nie podniósł, lecz przeciwnie ona głównie zapanowała w sekcji pierwszego wychowania i nauczania. Niemiecka nauczycielka ludowa, Heerwart, czytała w dalszym ciągu referat o stosunku Ochronek Fröblowskich do rozmaitych gałęzi przemysłu wiejskiego; druga, Schraeder, o kształceniu nauczycieli i nauczycielek do takichże ochronek. Delegat belgijski Buls wykazywał jak inteligencya dziecka, zmysł, obserwacji, uwaga i akuratność kształcą się w ogródkach Fröbela — jak dobrze przygotowują do karności szkole właściwej, i uzdalniają do przyjmowania dawanej tam nauki. Że tak jest, że dziecko już w pewien sposób przez karność ochronki do karności szkoły przygotowane, lepiej na razie uczyć się może — że to, czego tam nabyło, tu mu pomaga, to rzecz pewna; czy przeciw nie należałoby tu zostosować owego aforyzmu Fröbela, że życie jest to łańcuch złożony z nierozzerwalnych ogniw, więc żadnego peryodu tego życia nie można sądzić oddzielnie, w odosobnieniu od całości? W konsekwencji tego mądrego zdania trzeba by postawić pytanie: zali to dziecko, które na ławkach szkolnych, zwłaszcza klas pierwszych, siedzi najspokojniej i najpracowiciej lekcye od-

rabia, przedstawia po przejściu szkoły najdzielniejszego, najintelligentniejszego człowieka?

Sekcja III o nauczaniu technicznym, przedstawiała też rozprawy wysokiego w edukacji ludowej znaczenia. W jakim stopniu szkoła elementarna może bez krzywdy nauki właściwej zrobić u siebie miejsce nauczaniu technicznemu? Czy szkoły specjalnie techniczne nie powinny być urządzone z funduszów państwa, przeznaczonych na szkoły ludowe? były to kwestye żywo dyskutowane, zwłaszcza przez Anglików, a to głównie co do szkół gospodarstwa rolnego i tu przemawiali za szkołami takimi więcej właściciele: Earl Fortescu, lord Reay i Mr Auecland, wykazując, że wszędzie liczebnie znaczna ludność rolnicza zasługuje na taką pamięć państwa, taką opiekę, jakiej dotąd udzielano szczególnie przemysłowi. Powiedziano wiele pięknych i rozumnych rzeczy i znajdujący się tu reprezentanci wielkiej własności Anglii złożyli wielki examini dojrzałości i mądrości obywatelskiej. Earl Fortescu powiedział: „Nie może być klas wyższych szczęśliwych i spokojnych, gdzie klasy niższe ciemne są i ubogie!” Żądający szkół rolniczych dla ludu, opierali się i na tym ekonomicznym już argumentem, że dobra uprawa gruntów, które zostają w rękach drobnych właścicieli, opłaci krajowi stokrotnie wydatek na szkoły.

W sekcji nauczania uniwersyteckiego kardynał Manning przemawiał między innymi o uniwersyteckiej nauce księży; dalej, z wielkim odznaczeniem się, z wielkim zwróceniem uwagi ogólnej, Mrs Sidgwick czytała rezultat swoich dziewięcioletnich obserwacji, czynionych nad wyższą nauką kobiety w szkole Newnham, którą uważać należy za uniwersyteckie kollegium kobiece. Nauka wyższa nie czyni z kobiety istoty wyłamującej się ze swoich obowiązków, stającej w poprzek swemu naturalnemu przeznaczeniu. Oprócz tej natury, która tu straż trzyma, przybywa jeszcze rozum, i ten głębszy pogląd na rzeczy, który nie może pozwalać na kierunek życia fałszywy, bo daje lepsze, pełniejsze w życie to wejście. Pokosztowanie nauki, powierzchowne jej zacerpnięcie, przynosi jedynie takie smutne rezultaty, których nigdy sprowadzić nie może poważne umysłu wyrobienie. Dziewięć lat—to czas dostateczny dla doświadczenia, którego Mrs Sidgwick usiłowała nabyć, nie tylko przez obserwacje czynione w szkole, ale i poza szkołą. *Ateneum* londyńskie pisze też, że jej utalentowane i „szczerze” przedstawienie rzeczy przyniosło korzyść ogółowi, bo wiele obaw rozproszy (It will dissipate many fears).

PRZEZ KOBIETE

NOWELLA

Michała Wołowskiego.

(Ciąg dalszy).

— Panie, panie! Będą ją szukać po lesie, ale jeżeli ją znajdą, nie pozwól, by krzywdę temu dziecku zrobili!

— Hm! pozwól, nie pozwól—niby się mnie Kukuana będzie pytać! Skaranie boskie z tymi cyganami, doprawdy! Biedy sobie nawarzą sami, a potem płacz i zgrzytanie zębów! Hm! Cóż ja ci na to poradzę? Co Kukuana będzie chciała, to robi.

— Panie, panie!—błagała cyganka.—Ty nie wiesz: ona zabije Margiolicę tak, jak i mego starego zabił przed laty kazała.

— Hm! Hm! Kazała, mówisz? No, cóż ja ci na to poradzę? Ale sama powiadasz, że jej może nie znajdą?

— Och, mój Boże! jeżeli jej nie znajdą, to chyba, że ją wilki zjadły. Sarakan, sarakan di mine!—wołała biedna matka, rwąc sobie włosy na głowie.

Bojar kręcił się na łóżku; niecierpliwiła go ta scena. Chciał jej widocznie koniec położyć, żal mu było cyganki, ale zły był na nią, że go nudzi.

— Idźże już sobie, moja kochana, ja ci nic na to nie poradzę, samaś sobie winna, daj mi święty pokój.

Cyganka spojrziała na niego dzikim swoim wzrokiem, wyprostowała się, a nachylając mu się prawie do ucha, wyszeptwała:

— Panie, wszakże to twoja córka!

Bojar poruszył się niecierpliwie.

— Hm! Hm! Cóż ja na to poradzę? Skaranie boskie z tymi cyganami!—i klasnął w dłonie potrzykoc.

Cygańczyk pojawił się napowrót, a stara wyjść musiała.

Stała pod drzwiami na kurrytarzu, i nie wiedząc co począć, zalewała się łzami.

Drzwi naprzeciwko otwarły się prędko i śliczny młodzieńki panicz wybiegł pogwizdując.

Mógł mieć lat 18 zaledwie; ubraany był pomyślnie, w wysokich grubych butach, strzelbę przerzucił na ramię; widocznie: szedł polować.

Widząc Kassandra płaczącą, zatrzymał się nagle i gwizdać przestał.

— To wy, mamko?—spytał zdziwiony.— Co wam jest?

— Och, paniczku ty mój miły, dziecko ty moje złote, wielka bieda spadła na mnie dzisiaj.

— Jaka bieda?

— Margiolica uciekła mi do lasu tej nocy.

— Margiolica? Moja siostra mleczna? Czemużes mi wcześniej znać nie dała? Ale nie płacz, mamko. Idę właśnie do lasu i znajdę ją niezawodnie.

— Och, paniczku, ty mój, jeżeli jej wilki nie zjadły...

— Nie bój się! Margiolica zna las tak dobrze, jak i ja; nie darńmosy, dziećmi będąc, po nim płądrowali, a i tak zawsze do twej wróciła chaty. Nie przychodzi—bo sama przyjsć nie chce: musiaśś znów na nią gderać, podług swego wyczaju.

— Ej, nie, paniczku, to wielka bieda—i stara cyganka opowiedziała cały wypadek i rozkaz Kukuany.

Panicz się nachmurzył, czarne brwi zmarszczył.

— Do Margiolicy nikt nie ma prawa oprócz mnie; Margiolica jest moja! Gdzie moja matka?

Kukuana Froza wracała właśnie z officyny i wchodziła na kurrytarz.

— Matko — rzekł chłopiec, podbiegając do niej — dlaczegoś kazała brać Margiolicę do roboty? Ja nie chcę, by ona pracowała; jest mi przecież siostrą mleczną.

Kukuana, w bardzo złym humorze będąc, ostro ofuknęła syna:

— A tobie co się do tego mieszać, co ja niewolnicom robić każę! Już ta stara czarownica drogę do ciebie znalazła — zawołała, grożąc Kassandra pięścią.

Ale panicz jej przerwał.

Zdjął swą wysliwską czapeczkę i w bujne krucze loki zdobne czoło oparł pieszczotliwie matce na ramieniu.

— Matko, mategzko, ja tak chcę!

Kukuana Froza pomimo całej surowości charakteru nie umiała się nigdy oprzeć swemu jednemu.

Grigori był jej jedyną słabością na świecie.

Opierać się jednak musiała jeszcze dla formy.

— Ależ mój synu, to dobre było, pókiś był dzieckiem i ona także, ta twoja mleczna siostra. Gdzież kto widział, by podobne dziecinstwa trwały zawsze? Wyrosła na dziewczę i pracować musi, jak i inne niewolnice, a nie, to ją sprzedam na pierwszym jarmarku.

— I ileż za nią weźmiesz, mategzko? — spytał filuternie chłopiec, podczas gdy Kassandra wargi do krwi gryzła z rozpacz.

— Za takiego próżniaka nikt więcej nad 10 dukatów nie da.

— A więc, mategzko, zrobmy mały handelek. Oto jest dziesięć dukatów, które dostałem wczoraj od ojca na moje drobne wydatki, proszę mi sprzedać Margiolicę.

Kukuana Froza ramionami ruszyła.

— Tyle razy mówiłam twemu ojcu, by ci pie-

niędzy nie dawał. Naturalnie, nie wiesz, co z niemi robić. Jeżeli je biorę od ciebie, to tylko dlatego byś ich na co innego nie zmarnował; ale ta dziewczka niech mi się więcej na oczy nie pokazuje, —nie znoszę darmozjadów!

— Bądź spokojną, mategzko, Margiolica nie przyjdzie tu nigdy — i uradowany chłopiec skoczył matce na szyję, jakby był Bóg wie nie jaki skarb od niej otrzymał.

W jednej chwili był już w stajni, kazał sobie osiodłać konia i z dwoma tęgimi hajdukami puścił się pędem do lasu.

Kassandra, zawsze milcząca, powróciła pokornie do swej pracy.

Była jednak niespokojną; jakiś głos tajemny jej mówił, że panicz Margioli nie znajdzie.

Dzień cały zeszedł przy robocie i chylił się już ku końcowi, a panicza widać nie było.

Niespokojna Kukuana wysłała jeszcze dwóch hajduków na zwiady.

Noc zapadła—rozpuszczono robotnice do domów.

Kassandra powróciła do swej pustej chaty. Jakżeż w niej zimno i ciemno i głucho było dzisiaj—bez jej ukochanej dzieciny!

Tentent pędzącego konia zatrzymał się przed chatą, drzwi się roztwarły gwałtownie; cyganka krzyknęła, ujrawszy młodego panicza; wracał sam.

— Niema jej, niema! — jęknęła.

— Myślałem, że tutaj powróciła. To dziwna nigdzie ani śladu dziewczyny. Cały dzień pędziliśmy po lesie nadaremnie.

— Boże mój! Boże! — jęczała matka — wilki ją zjadły.

— Oto jestem spokojny. Byłby choć ślad pozostał, jaki skrawek ubrania; tymczasem nic, nic... Musiała uciec w góry.

Cyganka siadła na ziemi i w rozpacz rwała swe siwe włosy, zawodząc głośno.

Paniczowi łzy w oczach się kręciły na widok tej boleści strasznej.

Przystąpił do niej.

— Nie płaczcie, mamko, ja znajdę Margiolicę— a głos jego był tak pewnym, gdy te słowa wymawiał, iż mimowoli uspokoiła się stara i spojrziała na niego.

— Znajdę Margiolicę—powtórzył—jakem Grigori.— znaleźć ją muszę.

Dziecinna prawie jeszcze twarz jego przybrała wyraz poważny i mężki. Ślicznie mu z tem było.

Stara patrzyła w niego, jak w tęczę.

— Niech cię Bóg miłosierny wysłucha, paniczku, dziecko ty moje!

Nazajutrz wielkie przygotowania czyniono we dworze. Panicz wybierał się w drogę.

Sześciu hajduków dobrze uzbrojonych brał z sobą. Konie kielznano na dziedzińcu i broń opatrywano. Tysiączne przypuszczenia czyniono w officynach. Panicza wysłano pewnie w konkury do tej bogatej młodej księżniczki, od której swaty już parę razy tutaj przyjeżdżały.

Ale przecież w konkury nie jeździ się konno, ni zbrojno.

Zaprzęga się 12 koni do wielkiej kolasy i trzech Surudżyów (pocztylionów) pogania z siodła swoje czwórce.

Przytem i bojar pojechałby z paniczem, a tymczasem bojar ani myślał wstawać i najspokojniej w łóżku palił fajkę na długim cybuchu.

Wczoraj wieczorem powrócił panicz jakiś marnotny do domu i oświadczył rodzicom, że równo ze dniem wybiera się na polowanie na niedźwiedzie w góry. Przelękniona Kukuana ani słyszeć nie chciała, ale, jak zwykle, ustąpić w końcu musiała; gdyż panicz oświadczył stanowczo, że pojedzie sam jeden, jeżeli mu hajduków nie dadzą.

Uzbrojono więc czempredzej sześciu najdzielniejszych, z których najstarszy Ijon, dawniejszy góral, znał się na rzeczy gdyż niejedną raz w młodości ze zwierzem walczył.

Po odjeździe panicza zrobiło się pusto i głucho w starym ponurym dworze. Kukuana jeszcze bardziej grymasiła i lajała; bojar nie wstawał wcale z łoża i fajki z ust nie wypuszczał.

Polowanie na niedźwiedzia należy do rzędu dosyć niebezpiecznych.

W okolicach Piatry ciągną się wielkie starodrzewne lasy po obu stronach górskich kniei.

Ztamtąd wychodzą niedźwiedzie, przechodzą góry i spuszczają się po drugiej stronie do sąsiednich lasów.

Myśliwi górale wyczekują tej chwili i jeżeli niedźwiedź idzie sam jeden, góral wychodzi śmiało z trzema nożami, dwa trzyma w rękach, a trzeci składany, zawieszony ma na piersiach.

Niedźwiedź, zoczywszy śmiałka, powstaje na tylne łapy, idzie prosto na niego i bierze go w swoje straszliwe objęcia.

Myśliwy obojętnie przyjmuje ten uścisk; składany nóż na piersiach podnosi się na sprężynie i zatapia ostrze w samo serce nieprzyjaciela; jednocześnie dwoma pozostałymi nożami przebija mu się boki.

Trzeba przedewszystkiem zimnej krwi i odwagi, gdyż najmniejsze niewłaściwe poruszenie, źle zadane razy, mogą o śmierć myśliwca przyprawić.

Młody Grigori nie miał jedynie na myśli polowania na niedźwiedzia; posłużyło mu ono tylko za pozór do wyjazdu.

W górach miał szukać zbiegłej Margiolicy i znaleźć ją bądź co bądź postanowił.

Wytrawna i silna dusza była w tem młodem chłopięciu—jedna z tych, które średniowiecznych rycerzy tworzyły.

W małej wioszczynie, w okolicach Piatry, zostawionno konie i dalej już puszczone się piezo.

Przybywszy w góry, rozkazał panicz swym hajdukom porozchodzić się, w którą kto będzie chciał stronę, sam zaś puścił się wąwozem wązkim, między dwiema stromemi górami położonym i zwanym w narzeczu miejscowem, „Doba Cyganiaska (Kiszka cygańska).”

Stary góral Ijon, któremu poleconem było czuwanie nad paniczem, nie usłuchał jego rozkazu, i widząc, że się panicz w wąwóz zapuszcza, udał się w tym kierunku ścieżyną przez góry.

W głowie mu się, co prawda, pomieścić nie mogło: po co panicz tę drogę wybrał.

Wiadomo przecież, że Doba Cyganiaska prowadzi do przystani największych łotrów, zbiegów, cyganów, wyrzutków społeczeństwa, którzy tu znajdują bezpieczne schronienie. Któżby chciał zapuszczać się w te dzikie bezdroża i narażać życie, wpadając w ich ręce?

Co prawda, to Ijon sam tutaj, póki życia, nie był, chociaż góry swoje znał na pamięć.

Tak rozmyślając, szedł, a raczej czepiał się skał i drzewin, by się na swej stromej ścieżce utrzymać; słońce już gasło, i naraz spostrzegł się Ijon, że panicza całkiem z oczu stracił. Widocznie, ścieżka, którą szedł rozchodzić się musiała z wąwozem daleko.

Zmęczony drogą, nie wiedząc co począć, dostał się na jakąś ocienioną dolinkę i położywszy się, wnet chrapać począł.

Daleki odgłos strzału zbudził go niezadługo; zerwał się na równe nogi, i sam nie wiedząc dla czego, biedz począł w stronę, z której huk usłyszał.

— Panicz, panicz! Mordują panicza!—ta jedna myśl pchała go naprzód.

Zaledwie kilkaset ubiegł kroków, gdy został zniemacka zaskoczony i schwytyany silnemi rękami.

Powaliło go na ziemię kilku brodatych i czarnych jak dyabły rabusiów i związało, zanim zdołał schwycić za broń, którą miał u pasa. Cała ta scena odbyła się w milczeniu. Rumun zawsze milczy w nieszczęściu.

Podniesiono go z ziemi i zawleczono na otwarte miejsce, rodzaj płaszczyzny zwanej Vala Verdi (dolina zielona).

— Otóż jeszcze jeden nam przybywa—zawołał któryś z tych, co go prowadzili.

Ijon rozglądać się począł.

Vala Verdi była literalnie zapełniona postaciami podobnemi do tych, którzy Ijona schwyтали. Na trawie i w wyprężonych wozach siedziały kobiety na wpół nagie, ogorzałe, prawie czarne od słońca; niektóre trzymały dzieci na rękach, inne

stroili sobie głowy, plotąc i rozplatając czarne jak smoła warkocze i wtykając w nie pióra leśnych ptaków, kolorowe szkiełka i kamyki; niebaczne na podarte i brudne łachmany, które wcale nie estetycznie okrywały ich ciała.

Inne jeszcze leżały pod namiotami porozkładanymi i pałac fajki na krótkich cybuszkach przysłuchiwały się starszym, stawiającym głośno z czarowanymi kabalą zatłuszczonymi kartami.

Mężczyźni, niewiele więcej od kobiet zajęci, gromadnie naradzali się, pałac tytoni.

W samym środku stał wielki wóz w parę czarnych chudych bawolic zaprzężony, a na nim wyprostowany, biały jak gołąb starzec w czerwonym podartym łachmanie, naksztalt płaszcza zarzuconym na ramię.

U stóp jego leżała, jak martwa, postać kobieca brudną zasloną przykryta.

— Pst! Fijka (córka) śpi jeszcze; nie budźcie jej — mówił w tej chwili do stojących przednim ludzi.

Ijon spojrział się na tych ostatnich i o mało nie krzyknął głośno:

Panicz jego związany i blady stał pośród nich, czekając na rozkazy tego starego błazna w podartej i brudnej purpurze, mającego się za króla.

— Powiedzcie mi czego wreszcie ode mnie chcecie? — krzyknął panicz trzęsąc się z oburzenia i gniewu.

— Milczeć! rozkuję — ja! — powtórzył starzec.

— Przyszedłem sam do was, by spytać o losy pewnej dziewczyny, która znikła; jeżeli tutaj Margiolicy niema, dajcie mi odejść.

— Milczeć! — przerwał jeszcze raz starzec.

Ale było już zapóźno. Na ostatnie słowa panicza podniosła się postać śpiącej na wozie kobiety, ściągnęła z siebie zaslonę i ukazała twarz cudnej urody.

— Margiolica! — krzyknął panicz.

— Bojar! Panicz mój ukochany! — i jednym skokiem dziewczę było już na ziemi, u nóg swego panicza, — całowało mu ręce.

— Co to? związany? Rozwiążcie mi go natychmiast — wydała rozkaz a nikt się jej nie oparł.

— Ojcie — rzekła, zwracając się do starca — to ten, o którym ci mówiłam, on jeden dobry wśród tych wszystkich naszych przesładowców, on jeden mnie bronił, mnie i starą Kassandrę, ot i teraz słyszeliście, co mówił? po mnie aż tutaj przyszedł.

Starzec ponuro przyjął gorące słowa Margiolicy. Spoglądał złowrogo na pięknego młodzieńca, a w twarzy jego widać było niechęć i urazę. Bardziej jeszcze złowrogo spoglądały na więźnia inne czarne jak węgiel oczy z pod kruczej kręconej czupryny, a należącej do młodego cygana stojącego opodal wozu.

Ale Margiolica, na nic nie zważając, rozesała na ziemi starą derkę wełnianą, usadowiła nań swego kochanego panicza, zacerpnęła wody z krynicy i obmyła mu skrwawione ręce, potem skinięła na młodego cygana.

— Nabuko! — rzekła — idź-no udój trochę mleka koziego i przynieś tu w dzbanek.

Cygan poskoczył na jej rozkazy, ale zatrzymał się nagle.

— Czy dla ciebie, królewno? — zapytał.

— Nie, dla panicza — odrzekła niecierpliwie.

Nabuko wzruszył ramionami i brwi namarszczył mocno.

— Nigdy! — mruknął niechętnie i odszedł na stronę.

Margiolica, zdziwiona, spojrzała gniewnie na niego, ale widząc go niewzruszonym:

— Nabuko, proszę cię, zrób to dla mnie — rzekła tak miękko głosem, że cygan drgnął głowę spuścił i poszedł rozkaz spełnić w milczeniu.

Grigori przypatrywał się tej scenie ze zdumieniem.

— Zkądże ty masz tyle władzy nad nimi i to w tak krótkim czasie? — spytał zartobliwie swej mlecznej siostry.

— O ja ich znam oddawna — szepnęło półgłosem dziewczę — Nie wyjawiałam tego nikomu, nawet matce, nawet tobie; ale od kilku lat, korzystając

z wolności, jaką mi zostawiono, przybiegałam w tę stronę odwiedzać moich współbraci. Kocham ich całym sercem i oni mnie kochają. Król sam przyjął mnie za córkę i namawiał, abym u nich została; nie chciałam, — ale teraz...

Urwała; głos jej zadrżał.

— Cóż teraz? mów!

Dziewczę wstrząsnęło głową:

— Wiesz o wszystkim, paniczu, skoroś tu przyszedł.

— Tak, wiem, i przyszedłem powiedzieć ci, że jesteś wolną, że powrócić możesz do matki, do twej chaty, a nikt ci słowa powiedzieć nie będzie miał prawa. Jesteś wolną... Nie rozumiesz? — mówił dalej widząc, że patrzyła nań wielkimi swemi oczyma niedowierzająco. — Od kilku dni należałaś już do mnie, gdyż cię wykupiłem od mojej matki, ale wykupiłem dla ciebie samej: jesteś wolną! Przrzekłem mamce odnaleźć cię i przyprowadzić, powrócimy razem, nieprawdaż?

Margiolica poruszyła głową przecząco.

— Zapóźno!

— Jakto zapóźno? Co?

— Przybywszy tu, przysięgam należeć do nich. Cofnąć się niepodobna.

— I tybyś mogła zostać wśród tych rabusiów, tych łotrów, tych...

— Muszę. Zapóźno!

— Niema żadnego „muszę”, jeżeli tylko nie chcesz, — chyba, że wolisz...

(Dokończenie nastąpi).

LISTY J. I. KRASZEWSKIEGO Z MAGDEBURGA.

IV.

Gdyby tak za dni młodości naszej, około 1826 r., prawdziwy Chińczyk i autentyczny Japończyk, ukazali się na ulicy którego z wielkich miast naszych, a nawet w najwybredniejszym salonie — ach, jakżeby się potracano łokciami, jakby się ciśnięto jeden przez drugiego — aby tylko zbliżyć się do tej istoty nieznannej, bajecznej, o której tylko podróżnicy w książkach, a misjonarze w listach swoich coś prawili! Znajomość obu tych państw szczelnie zamkniętych, nieprzystępnych pełnych tajemnic, była jeszcze niedostateczną i pełną tych niedorzecznych legend, które przechodząc z książki do książki, przez samą uporczywość swą wyslizgiwały się z kleszczów krytyki.

Dzisiaj czasy bardzo się zmieniły: Japonia stoi otworem dla każdego, a Japończyków pełno jest we wszystkich wielkich stolicach i na ławach uniwersytetów; Chińczycy zaś zalewają Amerykę a nie są już rzadkością w Europie... Oto książka bardzo oryginalna, napisana przez zeuropeizowanego Chińczyka, który daje nam ni mniej ni więcej tylko apologią życia i obyczajów chińskich, wynosząc ponad cywilizacją i organizacją społeczną Europy — cywilizacją i społeczeństwem Chińczyków.

Książka ta ukazała się w Paryżu i nosi tytuł: *Les Chinois peints par eux mêmes* (Calman Levy 1884, 8-vo, 291 pp.; Bibliothèque Contemporaine); autorem jej jest p. Czeng-Ki-Tong *attaché* wojskowy poselstwa w Paryżu.

Ani wątpić: jest on urodzonym Chińczykiem, młodość swą spędził w ojczyźnie i musiał przejść wszystkie te examina, przez jakie tam przepędzają człowieka, chcącego zostać — czemkolwiek bądź, choćby łebkiem od szpilki. Ale książka tak jest europejską, tak nawet pisaną na sposób paryżki, zdradza tak głęboką znajomość naszych obyczajów i instytucji, że — gdyby nie znane nazwisko, możnaby podejrzewać jakiś podstęp dla przyciągnięcia czytelników.

Przyznaję, że tytuł obudził we mnie oczekiwanie, których książka nie zaspokoila. Spodziewałem się malowidła, obrazu, jakichś wspomnień, czegoś pochwytniejszego i bardziej realistyczne-

go. Pułkownik, jeśli powieźdieć prawdę, nie daje nam żadnych obrazów i nie chciał ich też bynajmniej malować: wziął on przed się tylko odparcie wszystkich potwarzy, jakie wała się na Chińczyków.

Pułkownik Czeng-Ki-Tong nazywa wszystkie te potworności, jakie Europa kładzie na karb Chińczyków, wprost — zmyślaniami bajkami i oszczerstwami.

Państwo Środka jest tedy krainą najszcześniejszą na świecie i pomimo ludności zbyt gęstej i ubóstwa proletaryatu, liczącego się tam na dziesiątki milionów, pomimo swych 400 milionów mieszkańców, — ma to być istny raj.

Nie wątpimy, że wiele stracić potrzeba z tego, co pisano o Chinach i Chińczykach, ale z drugiej strony sądzimy, że pan pułkownik trochę za różowo przedstawia nam swą ukochaną ojczyznę. Chcąc ją lepiej obronić, należało mniej rozprawić, a z większymi szczegółami odmalować ten kraj — tak spotwarzany. Połowa tej książki, napisanej bardzo elegancko, pełna jest porównań z obyczajami i instytucjami europejskimi i gdybyśmy policzyli dobrze stronicę poświęconę krytyce naszej cywilizacji, wypadaloby może zmienić tytuł i napisać: *Europejczycy odmalowani przez Chińczyka*.

Książka zaczyna się od rozdziału dość myśląc napisanego: *Uwagi nad rodziną*. Niepodobna zaprzeczyć, że w Chinach ta podstawa wszelkiej społeczności silnie jest zorganizowana, a cześć dla zmarłych, będąca częścią życia rodzinnego, dodaje nowej siły temu organizmowi, tworzącemu całość bardzo zbitą i nierozzerwaną. Indywiduum w Chinach ma mniej wolności, zależy zawsze od zwierzchnika, ale też i nigdy nie jest opuszczonem, porzuconem, jak u nas.

Po tym wstępie idzie rozdział o religii i filozofii. Widać z niego, że w Chinach zajmują się bardzo mało rozprawami w tych przedmiotach; że tolerancja jest tam panującą, i że uczniowie Konfucjusza, Lao-tsego i Fo (buddaizm) żyją ze sobą w dość dobrej komitywie. Autor sam to przyznaje, że obojętność w rzeczach religii jest bardzo powszechną w Chinach, ale ateizm nie jest znanym. „Nie jesteśmy jeszcze dość cywilizowanymi na to, aby nie mieć żadnej wiary” — powiada p. Czeng.

Rozdział o małżeństwie niczego nas nowego nie uczy. Sam obrzęd jest bardzo prosty; niema w nim ani przysięgi, ani błogosławieństw. Panuje zwyczaj, że rodzice sami upatrują kobietę, którą syn ich, do lat doszedłszy, ma poślubić. Pomimo to ani stadła chińskie, jak się zdaje, nie są gorsze, ani obyczaje — rozwiązlejsze od naszych.

Jest w tem tylko jedno maleńkie *ale*: obok żony występuje, i to legalnie, ktoś, kto nie jest żoną, mieszka w tym samym domu rodzinnym — a zostaje — „pod rozkazami” pani.

Rozwód, którym żywo zajmuje się autor, — może z powodu, że kiedy pisał swą książkę, sprawa ta była na porządku dziennym we Francji, jest w pewnych wypadkach przewidzianych dozwołonym przez prawo, ale potępianym przez obyczaj. Potępiają go szczególnie w tak zwanych sferach arystokratycznych. Kobieta chińska używa większych praw i większej powagi w rodzinie swojej, niż, na przykład, francuzka: może ona zastępować swego męża, może kupować i sprzedawać bez jego współdziałania, może zawierać umowy o dostawę przedmiotów handlu, może wyposażyć dzieci etc. Przytem mało się oddaje zajęciom umysłowym, nie uprawia wcale swej inteligencji, aby błyszczeć poeuropejsku; ale w domu swoim jest wolną i poważaną. Zresztą istnienie jej upływa spokojnie na łonie rodziny.

Rozdział o języku piśmiennym, o literaturze, i nauce, powtarzają tylko to, o czem wiedziano już dobrze poprzednio; stara się w nich tylko autor wszędzie ukazać stronę korzystną wszystkiego, co chińskie. Ludzie naukowci grają w Chinach rolę bardzo ważną i doznają powszechnego poważania, zdobywają je zaś sobie przez cały szereg examinów. Stopień naukowy nietylko uzdalnia do zajęcia najwyższych stanowisk, ale rzuca splendory swoje na całą nawet rodzinę, co więcej, i nawet na nieżyjących już przodków. Wsteczny ten wpływ jest jedynym w swoim rodzaju; wytłómaczyć go można czcią przodków.

Cały jeden rozdział poświęca autor Dziennikowi i Opinii w Europie. Dziennik właściwy, taki, jaki u nas istnieje, nieznan jest w Chinach, gdzie, wręcz przeciwnie, istnieje tylko dziennik tajemny, redagowany przez historyografów, nie przeznaczony bynajmniej dla zwykłego śmiertelnika.

Mówiąc o epokach przedhistorycznych, takich, jakie znać można z ksiązek chińskich, autor podaje kilka szczegółów ciekawych, które wzbudzą żal, że właśnie ten rozdział nie został starannie opracowany. Ale wogóle już cała ta książka przeslizguje się tylko po wierzchu—jakby z obawy głębszych studyów.

Dobieramy się nareszcie do rozdziału najlepiej napisanego i który jest też może najbardziej zajmującym—do przysłów i maxym. Autor mówi dalej o poezji i literaturze: powinien był zatem przysłówia i maxymy do właściwego rozdziału zachować. W rozdziale tym podaje on próbki małych poematów bardzo oryginalnych.

Kto tylko zastanawiał się kiedykolwiek nad przysłowiami i maxymami obiegającymi wśród różnych narodów Kuli Ziemskiej, ten nie mógł nie zauważyć, że nieskończona moc tych zdań mądrości objawia takie pomiędzy sobą podobieństwo, iż prawdziwie są one dla siebie zupełnymi równoważnikami i różnią się jedynie tylko formą. Przysłowia chińskie nie stanowią w tym względzie wyjątku. Są tu tesame pojęcia, inaczej tylko przyodziane—w chińskim stroju.

U nas, na przykład, „mury mają uszy”; u Chińczyków uszy są nawet pod kamieniami bruku. Szydząc z czyjegós rozumu praktycznego my radzimy dla złapania ptaka nasypać mu soli na ogon; w Chinach naiwni kręcą powrozy, aby złapać burzę. Przytoczymy tu jeszcze kilka maxym:

„Złoto czyste nie lęka się ognia.”

„Potrzeba samemu przecierpieć, aby poznać cierpienie innych.”

„Szaty powinny być nowe, ludzie—dawni.”

„Nim zajrzesz do serca wsłuchaj się w słowo.”

„Po dobrem winie słowo szczere (*In vino veritas*).

„Lepiej jest żądać od siebie niż od innych.”

„Z czystym sumieniem można śmiało iść przez ciemności.”

„Człowiek mądry umie się przystosować do okoliczności tak, jak woda przybiera kształty naczyń, w które ją wlało.”

Rozdział o wychowaniu zajmuje się więcej metodami nauczania, przepisami przez państwo, niż samymi instytucjami, przeznaczonymi do szerzenia oświaty. O szkołach nic prawie niema. Każda rodzina zaopatruje się, jak może, w nauczycieli i mistrzów; ale profesorowie ci, gdyby nawet chcieli, nie mogliby niczego innego i inaczej nauczać tylko *tego*, i *tak*, jak wymagają urządzenia ogólne.

P. pułkownik zresztą bardzo łatwo dochodzi do wykrycia źródeł socjalizmu, który uważa za skutek powierzchownej nauki: „Lepiej jest tysiąc kroć—konkluduje,—żeby człowiek był całkiem nieokrzesany, ciemny, niż gdyby miał być źle nauczonym t. j. źle wychowanym. Przysłowie chińskie mówi: „Lepiej jest być psem i żyć w pokoju, niż być człowiekiem i żyć w anarchii.”

Trzeba przyznać, że jest to wielka chińszczyzna.

Reszta tomu zajmuje się klasami pracującymi, poezją—a według nas, aż do przesytu, a w każdym razie zbyt, parallelami i porównaniami naszego społeczeństwa z chińskim. Można przewidzieć rezultat, kiedy go nam Chińczyk ma podać—kiedy nam chce odmalować społeczeństwo uważające się za nieskończenie wyższe od Państwa Środka, i rzeczywiście posiadające wyższość inteligencji, ale społeczeństwo, które, pracując, walcząc, przygotowując przyszłość, znajduje się w stanie ustawicznych cierpień i częstych zawodów.

Tak jest—Pułkownik się nie myli: Chiny są lepiej od Europy ukonstytuowane do tego, aby mieć ciszę i spokój; ale cel ludzkości nigdyby o osiągnięty nie był, gdyby poświęcano wszystko dla tego stanu błogości niemrawej i przygnębiającej.

Są w Europie cele najrozmaitsze, są olbrzymie odskoki pomiędzy jedną naturą a drugą. pomiędzy zdolnościami jednych a drugich, są wpływy religijne i filozoficzne, jest wiele innych jeszcze czynników, które nie pozwalają nawet na porównanie Chińczyka z człowiekiem z Europy. Bezwątpienia, jest Europejczyk bardzo nieszczęśliwym, ale wierzy w postęp i dla niego, dla przyszłości, pracuje.

Próby poezji, które nam daje Pułkownik Czeng-Ki-Tong, wszystkie oddychają tą ciszą, tym spokojem, który dla Chińczyka jest celem istnienia. Co najwyżej, w niektórych z nich ogarnia poetę smutek łagodny i poddający się cierpieniu. Namietności gwałtowne z poezji tej są wygnane.

Oto próbka dawniejszej poezji:

Za bramą miasta, od Wschodu,
Tłum kobiet pięknych zebrany,
Podobny do jasnej *chmury*...
Lecz choć do *chmury* podobny,
Nie do nich myśli me biegną:
W białej szacie, w skromnym stroju,
Wolę towarzyszkę moję.

Naokoło murów miasta
Kobiety zwinne i wdzięczne,
Jak *kwiaty* w polach kwitnące...
Lecz choć do *kwiatów* podobne,
Nic do nich serca nie ciągnie:
W białej szacie, różowiuchna,
Żona moja—szczęściem mojem!

W ułamkach poezji klasycznej znajdują się rzeczy bardzo ładne, które, nawet rozebrane z wdzięku, jakie im nadawać musi wykończona forma, nie są pozbawione właściwego charakteru.

Po przeczytaniu i złożeniu książki pozostaje po niej osobliwsze wrażenie. Ten Chińczyk zfrancuział czy jest bardziej—Francuzem czy Chińczykiem? Niepodobna na to odpowiedzieć. Jego krytyka, tak dobrze, jak jego apologia—noszą na sobie piętno tak wyraźnie paryzkie, że potrzeba sobie zadać pytanie: czy przypadkiem pułkownik nie jest mytem a książka sama tylko spekulacją księgarską? Bezwątpienia, nie. Pułkownik rzeczywiście istnieje—służy w dyplomacji; ale te jego Chiny, ci jego Chińczycy tak są wymyśli, wypudrowani, wybieleni, wymuskani, że nie trzeba zanadto ufać ich uszczęśliwionym minom.

W całym dziele zastrzeżenia i niedomówienia są tak liczne, tak silnie ciążyą na zdaniach i twierdzeniach autora, że to samo już nie pozwala nam wierzyć w prawdziwość obrazu; zawiele z tego obrazu usunięto, a w tem, co zostało, widać przeslizgiwanie się po wierzchu. Nie podobna brać tego poważnie—i wierzyć.

Kronika działalności kobiecej.

— W d. 15 b. m. odbył się w *Muzeum pszczolniczym* na Koszykach examin doroczny, do którego stanęło szesnaście uczennic. Examinowane z anatomii pszczoły, z botaniki, z teorii pszczolnictwa i gospodarstwa pasiecznego, okazały pożądaną znajomość rzeczy i otrzymały świadectwa wykwalifikowanych pszczolarek, upoważniające do zakładania pasiek. Panie te są: Helena Alexandrowiczówna, córka dziekana byłej Szkoły Głównej, Salomea Chalińska z Kieleckiego, Zofia Daniewska z Warszawy, Celina Horodecka z Litwy, Zofia Lossow z Ilżyckiego, Jadwiga Niedziałkowska z Łomżyńskiego, Antonina Nowińska z Warszawy, Marya Ostaszewska z Wołynia, Amelia Rafalska ze Słuckiego, Salomea Rożen z Podola, Marya Sawicka z Kijowa, Michalina Świetlicka z Suwałk, Izabella Tarkowska z Wołynia, Natalia Węglińska z Lubartowskiego, Julia Zaborowska z Włocławskiego, Marya Czerwińska z okolic Warszawy.

— Na liście członków *Towarzystwa Ogrodniczego*, które (dzięki Bogu) ma się zawiązać urzędownie dnia 11 Października r. b., spotykamy pań trzy: Kaczyńska Marcela, Okręt Helena, Wertheim Julia. Należy się spodziewać, że do chwili zorganizowania się *Towarzystwa* maluczka ta liczba wzrośnie o wiele. Jest tu pole dla działalności kobiet, pań wiejskich zwłaszcza, tak bardzo odpowiednie, że nie można przypuścić, aby przy rozbudzającym się w kobietach naszych pragnieniu użytecznej, praktycznej działalności mogło być inaczej. Powinna kobieta być tu reprezentowaną i między członkami założycielami.

— W fabryce łyżek alfenidowych na Solcu, zamkniętej z początkiem bieżącego roku dla braku roboty, a otwartej z półroczem letniem, znajduje się obok 10 robotników, 20 robotnic. Fabryka zatem jest obsługiwana głównie przez siły kobiece.

— W Miechowie istnieje pożyteczna instytucja ekonomiczna z kobietą na czele. Jest to stowarzyszenie spożywcze, którego firmowa nazwa jest: „Zofia Sperczyńska i Spółka”. Spółka ta licząca trzydziści kilka członków, urządzona na zwykłych zasadach spółek komandytowych, zawiązała się z kapitałem trzech tysięcy rubli, na mocy aktu prywatnego, który został spisany w trzech egzemplarzach. Z tych jeden złożono w sądzie okręgowym kieleckim, drugi w rękach spółnika firmowego, to jest p. Sperczyńskiej, trzeci u jednego z członków stowarzyszenia. Najem lokalu na sklep Stowarzyszenia, administracja, wykupienie konsensu kosztuje spółkę 1,000 rs., towar swój zakupuje spółka z pierwszej ręki, wyłącznie za gotówkę; stowarzyszeni mają w sklepie otwarty kredyt, ale tylko miesięczny i do połowy swego udziału w spółce. Sklep zawiera towar bardzo rozmaity, obliczony na codzienną potrzebę domową rodziny i znajduje się też w nim obok tego, co zwykle mieści handel korzenny, tytuń, mydło, świece, nafta, a nawet nieco galanterii. Licząc już blisko rok istnienia, spółka wywiązywać się musi dobrze z zadania swego, gdyż obrót miesięczny początkowo wynoszący 800 rs., obecnie dochodzi 1,200 rs., całoroczny wyniesie przypuszczalnie 15,000 rs. Zyski po zamknięciu rocznego bilansu pójdą w połowie na rozszerzenie handlu, w połowie na dywidendę członków w stosunku ich udziału w spółce. Spółka zawarta jest na lat 5 i przed upływem oznaczonego czasu nikt ze spółki wycofać się nie może. Wrazie opuszczenia miasta, powinien wspólnik udział swój przekazać komuś z mieszkańców miasta.

— Córka artysty muzycznego z Warszawy, panna Szulc, zdała w Paryżkim Uniwersytecie examina, otwierający jej wstęp na wykłady wydziału lekarskiego.

— Na ostatnich examinach Uniwersytetu Paryżkiego przystąpiło do examinu na stopień: *Baccalauréat és lettres* pań trzy: Paryżanka, Melle Lemoine i dwie córki posła Rumuńskiego w Belgii, Vacares, z których jedna ma lat 19, druga 17. Wszystkie trzy otrzymały żądany stopień.

— Na 224,956 nauczycieli we Francji jest 64,828 nauczycielek.

— Złoty medal został przyznany przez francuskie *Towarzystwo Rolnicze* p. Maniel, wdowie, która w dobrach swoich: Sta Helena, położonych w departamencie Girondy, zagaiła obszerne przestrzenie wydm piaszczystych, zasadziwszy je drzewiną leśną.

— Stowarzyszenie *Les Dames Françaises* otrzymało dla rozdania między ofiary cholery: Z Alzacji 80,000 franków; od Francuskiego Klubu w San Francisco 2,000 fr.; od Francuzów w Meksyku 5,000 fr.; od hrabiny Chambord 2,000 fr.; od księcia Walii 4,000 fr.; od Stowarzyszenia kąpiel morskich w Monaco 80,000 fr. Francuskie Ministerium Spraw Wewnętrznych przysłało tytułem powiększonych subwydatków 24,000 frank.; paryzkie loże masonskie zbierają fundusze dla zrobienia z nich podobnego użytku.

— Pewne koła kobiet francuskich troskliwie przeglądają nowe prawo municypalne dla dowiedzenia się: czy kobiety mogą być na zebraniach rad municypalnych. Przecież dzienniki, będące organami kobiecimi, odpowiedziały na to,

że prawo to przysługujące wszystkim obywatelom Francji, nie może wyłączać kobiety. Izba Deputowanych i Senat pozwala kobietom słuchać obrad swoich z galeryi; zapewne też i rady municypalne nie odmówią tu im wstępu.

— Londyńskie Towarzystwo Badań Mikroskopowych przyznało kobiecie pełne prawo wstępu do stowarzyszenia, z jednym przecie wyjątkiem: nie dozwolonym jest kobiecie bywania na zwyczajnych zebraniach towarzystwa. Kobiety angielskie odpowiedziały w dziennikach hiszpańskim przysłowiem: „Winogrona powoli dojrzewają.”

— W Bombay wychodzący dziennik: „Indian Mirror” pisze, że najbardziej w prowincyi Bengalu rozpowszechniony i czytany dziennik wychodzi pod redakcją kobiety: Srymati Swarna Kumery Dewi. Nie jest to przecie jedyna literatka i dziennikarka w Bengalu, zmarła niedawno Bama Sundary Dewi założyła i przez lat wiele wydawała bardzo dobry, sprawom społecznym i literaturze poświęcony miesięcznik, który również był bardzo czytany przez jej współrodaków i współrodaczki. Wogóle kobiety indyjskie kast wyższych nie są bynajmniej niewolnicami, jakkolwiek, za wpływem Mahometanizmu, zamykają się w zenanach i usuwają od publicznego towarzystwa mężczyzn. Indyjanka ma wogóle wyższe o rzeczach i świecie pojęcie, szlachetniejszy nastój uczuć i myśli, niż Turczynka. Tradycya narodowa zachowała jej godność wtedy nawet, gdy ją poniżał Mahometanizm.

— Patriotyczna poetka duńska, znana i uwielbiana w ojczyźnie swojej pod imieniem „Anna” — ta, której hymn narodowy, napisany dla Schleswig-Holsztynu w chwilach najboleśniejszych zapasów z Niemcami, brzmiał w ustach tysięcy, i tysiące serc gorącym uczuciem zapalał, zmarła w dniu 27 Sierpnia b. roku, mając lat dziewięćdziesiąt! Sędziwa to już zatem była pierwsza, pierwsza siedmiesięcioletnia, gdy w niej miłość Danii tak silnym ozwała się głosem, że naród cały pieśń powtarzał i uczynił ją swoim śpiewem uroczystym. Zmarła poetka nazywała się: Anna Krystyna Ludwigsen, z domu Lauterup; pochodziła ze szlacheckiej Jutlandzkiej rodziny i zmarła w posiadłości swojej w południowej Jutlandyi. Tinglev. Była bezdzietna i majątek swój ziemski rozdzieliła między lud wieśniaczy. Kiedyś znała się i nawet przyjazną zażyłością złączona była, z Fryderyką Bremer; nam była wielce przychylna, historią naszą znała szczegółowo i poświęciła nam kilka pieśni, z których jedna jest przełożona na język hollenderski. Polacy znajdowali w niej zawsze tkliwą przyjaciółkę. Mimoswego szlacheckiego pochodzenia, była przekonana demokratycznych, ale głównym jej myśli i życziwych chęci przedmiotem był lud wiejski. Matką nie była nigdy; owdowiała młodo; nie będąc piękną, miała być kiedyś powabną i miłą, pewna przyjemność złączona zawsze z dobrocią i szlachetnością uczuć pozostała jej do śmierci. Siwa była jak gołąb, ale do zgonu zachowała włosy nad wiek swój gęste i bujne. Pokój jej duszy i ciche odpoczywanie w ziemi ojczystej!

NOWINY PARYZKIE.

Paryż d. 31 Sierpnia 1884 r.

(Dokończenie)

Każdy braciszek, zaczawszy od generała do odzwiernego, wstaje o 4-ej godzinie zrana — czy zimą czy latem; po odmówieniu pacierzy i po chwili pobożnych rozmyślań udaje się do klasy, często bardzo źle ogrzanej w zimie, nieco zagorącej w lecie — i wychodzi z niej do kaplicy na wspólną modlitwę, ztamtąd do refektarza, którego więcej niż skromne przysmaki mogłyby zrazić najmniej wymyślny żołądek — i znowu do klasy. Przy schyłku dnia i po skończonych naukach znowu kaplica, pobożne czytanie i nakoniec samotna ce-

la, gdzie czeka twarde posłanie, a za całą ozdobę służy krzyż, bo stół drewniany i stołek nie mogą się liczyć do ozdób. Jutro jest zupełnie takie-same jak wczoraj, jak dzisiaj, i tak aż do końca życia, jakikolwiek byłby stopień przeznaczony w hierarchii. Koniec ten może przyjść w młodości, — z piersiowej choroby, przy wysiłku pracy i ubóstwie życia, na polu bitwy — przy opatrywaniu rannych, w szpitalu — przy doglądaniu chorych, albo po osmdziesięciu latach pracy, jak zmarł Brat Filip, przedostatni generał, znany światu całemu.

Zauważmy to jeszcze, że dobrowolnie i nagle braciszek przychodzi do zgromadzenia i przyjmuje tę twardą, żelazną regułę na wieki, pozostawiając już Bogu samemu staranie, kiedy zechce położyć koniec temu poświęceniu. Nie jest to uciekanie od życia i cierpienia; jest to śmiałość i pewne wejście w otwarte szranki; można ztąd wynieść guza, ale nagroda pewna jest w niebie. Na to musi czekać braciszek całe swoje życie, wydając je codziennie w zdawkowej monecie spełnianej powinności. W grubej czarnej sutannie, często polatanej własną rękoma, w ciężkich, ćwiekami podkutych trzewikach, z gołą często głową, braciszek rusza, gdziekolwiek go posle jego wybrany przełożony: na koniec świata, w kraje żółtej gorączki, cholery — na największą niedolę. Dla niego — to nie praca ani nie choroby zabijają — ale Opatrzność! która w danej chwili dziękuje mu za służbę i nagradza go, powołując do siebie!

A teraz, za tyle poświęcenia, ofiary, za tak wierne służby, czemże świat, któremu służy, nagradza braciszka, jeżeli, oczywiście, nie wypędza go z tej szkoły, do której go wezwał? Zapłata ta jest ciekawa.

Tu, we Francji, summa nie przechodzi nigdy od 500 do 700 fr. na rok, jest to prawie ogólna, normalna zapłata zgromadzenia we wszystkich krajach — co najwyżej zatem 58 fr. na miesiąc, nie spełna 2 franki na dzień. Z tej-to zapłaty braciszek się karmi, ubiera i utrzymuje. Cela, łóżko i trumna darmo! Takim-to ogromnym kosztem rozszerza on oświatę i daje chleb milionom, i dlatego właśnie, pędzają go jak wilka. Tu można zastosować jedno z tych wyrażen ulicznych, w modzie dziś we Francji, że nic nie jest *pour la pause*: takie ofiary i poświęcenia, przynoszą ci ludzi. A więc pyta się człowiek sam siebie: co to jest, to zwicnięcie moralne umysłu ludzkiego, które go prowadzi do przesładowania, do nękania tego rodzaju narzędzi najskuteczniejszych przy szerzeniu światła?

Nie może to być przyczyna ekonomiczna, bo tańszą naukę trudno jest wymyślić; zresztą widzimy to jasno: szkoły gminne w Paryżu, które, obsługiwane przez Zgromadzenie Braciszków, w 1876 r. kosztowały 9 milionów, kosztują dzisiaj 30 mil. fr.

Może systemat naukowy? Ależ niedawno jeszcze, podręczniki szkolne Braciszków uważane były za najlepsze dzieła elementarne we wszystkich zakładach! Braciszki stworzyli systemat tak zwany *nauczania jednoczesnego* (*Enseignement simultané*), który uznano za najdokładniejszy; oni — nakoniec wynaleźli najprostszy i najlepszy sposób uczenia rysunków, za co w 1861 r., na Wystawie Powszechnej w Paryżu, otrzymali wielki medal złoty. Dodajmy do tego, że oni-to urządzili pierwszy kursa dla ludzi dorosłych, kursa nauk wyższych i profesjonalnych.

Następny wykaz przekona zresztą najlepiej o wartości i zasłudze nauczania Braciszków. Na 2,041 stypendyów (*bourses*) udzielonych przez miasto Paryż od 1848 do 1883 roku, 1,547 dostały się uczniom zakładów, będących pod dyktando Braciszków, a tylko 494 ich współzawodnikom!

Niedosyć na tem, niedosyć, że w spokojnej, zamóżnej ojczyźnie pełnią ci ludzie, ochotnie, z uśmiechem na ustach, najcięższą i najtrudniejszą pracę: są oni jeszcze głównym czynnikiem, który na krańce świata roznosi — imię Francji, jej wpływ, jej znaczenie, jej język. Oto ci braciszki, ubodzy, maluczcy, nieswiadomi, jak się sami przezwali (*Ignorantins*) — są to przecie owi żołnierze krzyżowi, których ręka dzierży potę-

żnie pochodnię oświaty — ale serce otwarte powtarza ciągle słowo Boskiego Nauczyciela: *Sinite parvulos venire ad me!*

Tak, patrzcie uważnie na ten zastęp czarnych, jak kruki, mnichów — z gramatyką francuzką pod pachą; idą na wszystkie strony świata zakładać szkoły; a w każdej z tych szkółek obok imienia Boga, staje imię Francji, ojczyzny tych kraków: czyż to nie porywa za serce?

Dziś okrąg naukowy Zgromadzenia Braci Chrześcijańskich składa się z 1,300 szkół, obsługiwanych przez 12,000 braciszków i więcej niż 500 professów; nauczają oni przeszło milion dzieci: we Francji, we Włoszech, w Belgii, w Szwajcaryi, w Austrii, w Anglii, w Turcji, w Ameryce, w Afryce, w Chinach, w Oceanii — wszędzie, z wyjątkiem Alzacji, z którą ich wypędził żelazny kanclerz.

„Zabiegliwość i zapal tych braciszków — mówią on do jednego ze swych powierników — gorsze są dla kraju, niż brak nauczycieli; a nauka tłumiąca ducha niemieckiego w Alzacji gorszą jest niż brak oświaty!” Dowodzi to, że kanclerz wie z kim ma do czynienia, a przywykł do tego, aby się wszystko uginało pod żelazną jego ręką, woli, aby się to wszystko działo pociemku.

Trzeba ich było widzieć w czasie wojny 1870 i 71 r. — w czasie oblężenia Paryża. Wszędzie ich znajdziesz, i wszędzie w najgroźniejszych opalch. Pod Sedanem, St Denis, Dieppe, w Avignonie, w St. Etienne, w Falaise, braciszki roją się, cisną do pomocy i pracy, choć wielu z nich pada ofiarą tego poświęcenia. Tu pilnują chorych w szpitalach, tam przygotowują naboje, zbierają dary i przyjmują żołnierzy na nocleg, służą jako sekretarze w intendenturze. Pod Gravelotte 3,000 rannych zebrali ci odważni tragarze na polu bitwy — wszystkie szpitale są obsługiwane przez nich.

W Paryżu brat Filip, przedostatni przełożony generał, starzec przeszło osmdziesięcioletni, staje na czele tych braci szpitalnych. Na wzgórzach Mont d'Avray, w mróz trzaskający, cały dzień i noc stoi pod ogniem nieprzyjacielskim i nie schodzi z pola, aż dopiero wtedy, kiedy straciwszy dwóch czy trzech braciszków, musi się już cofnąć wraz z cofającym się wojskiem. Ta garstka nieustraszonych krzyżowców nie miała nawet kawałka chleba, aby się posilić — chleb bowiem jest własnością żołnierzy, którym oni przyszli służyć *usque ad finem!* Tyle poświęcenia i ofiary wołało o uznanie; głos powszechny domagał się nagrody; brat Filip został ozdobiony krzyżem Legii Honorowej, a Akademia przysądziła mu nagrodę Montyona.

Pisząc to, zdaje mi się, że przerysowuję jakiś obraz z dalekiej przeszłości; — jedno z tych dzieł średniowiecznych mistrzów, gdzie prostota i naiwność formy walczą o pierwszeństwo z uczuciem głębokiej wiary, która sama tylko ożywia oblicza tych, co zdają się należeć do innego świata. Trzeba prawdziwie, aby temu, który staje na progu jednego z tych surowych zakładów, natura dała wyłączną odwagę. Zaprawdę, jak powiada Horacy: *illi robur et aes triplex circa pectus erat!* Kto mógł przywdziać tę ciężką, posępną suknię — nie ma tu nic, coby złagodzić mogło, choćby na chwilę, surowy obowiązek życia; można więc łatwo zrozumieć, że ci, co weszli, co potrafiliby śmiało ten próg przekroczyć, zostaną wiernymi do śmierci.

Są tacy, którzy się zatrzymali na tym groźnym progu — i dobrze zrobili. Tu niema pośredniej drogi; tu albo potrzeba oddać całą swoją duszę, albo nigdy nie wchodzić do pracowni. Właśnie w tej oto chwili przypomina się naszej pamięci jeden z tych, którzy ciężką szatę neofity, woleli złożyć na stopniach ołtarza, niż klamanem uczuciem powołania zmasać swe sumienie. Niemałych ten człowiek doznał ztąd przykrości: sam opowiadał swoje zapasy, nie tylko z życiem, ale z głosem sumienia, a i dotąd wzrok jego, jakby mimowolnie, zwraca się często ku owemu schronieniu, gdzie duch jego poraz pierwszy rozwinął swe skrzydła. A chociaż do mniej twardej reguły, niż owa *Braci Chrześcijańskiej Nauki*, sposobił się on wówczas, cofnął się przecie, przed wielkością obowiązków kapłańskich, kiedy zrozumiał, że im nie podda.

Mówię tu o p. Renanie, którego świeża wycieczka do rodzinnego miasteczka w Bretanii i przemówienie wygłoszone tam na przyjacielskiej biesiadzie, przypomniały nam żywo jego: *Wspomnienia młodości*. Dajemy tu w tłumaczeniu jego przemówienie, którego znakomity pisarz sam udzielił nam raczyli:

„Panowie i przyjaciele! Jakże wam wdzięczny jestem, żeście mnie dźwignęli, mnie, który się już z trudnością dźwigam—z tego fotelu, w którym kostnieję, z tych bólów, które mnie opanowują zwolna, i z tego wahania się, z którego potrzebuję być gwałtem wyrwanym! Wam-to będę wdzięczny za to, iż raz jeszcze doznałem radości oglądania starego mojego grodu, Tréguier, z którym mnie wiążą najdroższe wspomnienia.

„Krótkie i rzadkie były te chwile, w których ukazywałem się tutaj, odkiedy mnie porwał ten świat szeroki—i mogę powiedzieć, zaprawdę, że już czterdzieści lat upłynęło od czasu, gdy go opuścił. Czterdzieści lat! Co za ogromna otchłań w sprawach ludzkich! Ileż to rzeczy się zmieniło w ciągu tych lat czterdziestu! Ale, my Bretończycy, jesteśmy wytrwali. Wczoraj, obchodząc wokoło klasztoru i katedry, mówiłem sobie, że się nic nie zmieniło, ani we mnie, ani w tem, co mnie otacza.

„Ach! zapewne, w ludziach zmiana jest ogromna! Wszyscy ci prawie, którzy otaczali młodość moją, zniknęli ze świata. Matka moja, której winienem cały grunt mojej natury—to jest wesołość; siostra moja, tak czysta, tak wierna dusza—niema ich już tu, gdzie je niegdyś oglądał, gdzie em niegdyś kochał, i gdzie mnie one tak serdecznie kochały! Moja pocziwa Marya-Janina umarła już temu lat kilka. A moi najlepsi nauczyciele, którym winienem to wszystko, cokolwiek jest najlepszego we mnie—jeden z nich tylko, zdaje mi się, żyje dotąd jeszcze—Pothier i Duchesne, którzy nauczyli mnie dwóch rzeczy najpożyteczniejszych dla mnie: łaciny i matematyki; p. Pasco, pełen tak niezmiernej dobroci; p. Truffert, przełożony, który mi dał poznać i zrozumieć, ile-to może mieć surowego wdzięku życie poważne, poświęcone rozumowi i obowiązkom. Wszyscy ci zacni ludzie, gdzie są? Znikli, żyjąc i czyniąc dobrze, i pozostawiający tradycję cnót i powagi. Ale ramy tych osobistości, ale miejsca, gdzie żyli ci ludzie, trwają i dotąd. Wczoraj, co do najmniejszego kamienia prawie, odnalazłem moją stare Tréguier.

„Na każdym domu mógłbym położyć nazwisko dawniejszego jego właściciela. Katedra zachowała dotąd swoją powietrzną lekkość; trawa, jak dawniej, gęsto rośnie na starych mogiłach klasztoru; mógłbym uwierzyć nawet, że się tażsama krowka pasie na nich.

„I wówczas pytałem się sam siebie: „Czym się też ja zmienił?” i odpowiedziałem sobie z pewnością: „Ciałem, tak—bezwątpienia”, a jednak nawet w tym punkcie mógłbym wiele powiedzieć na moją obronę. Dzieckiem już, nie byłem wcale ruchawy, nie igrałem nigdy, jak drudzy; wolałem książkę i ciszę i pogrążanie się w niej.

„Przestrzeń pomiędzy szkołą i domem przebiegałem dwa razy na dzień: nie zbaczając ani na krok, w prawo lub wlewo. Reumatyzm, które mi dziś utrudniają chodzenie—miałem je i wówczas. Co zaś do duszy, o! ta jest zawsze tażsama. Ten mały żaczek, sumienny, pracowity, żądny podobać się swym nauczycielom,—to ja jestem, w całej mej osobie. Byłem pełen zdolności już wówczas; posiadałem już to wszystko, co dziś posiadamy; niczego nie nabyłem odtąd, chyba tę wątpliwą sztukę zużytkowywania tego wszystkiego. Lepiej byłoby daleko żyć i umrzeć samotnie; ale nie

jesteśmy panami losu: świat chwyta nas za łeb, i robi z nami, co się mu podoba.

„Jedno, com zawsze posiadał, jest to zamiłowanie prawdy, i pragnę, aby mi wypisano na grobie, (A! gdyby on mógł być w klasztorze ten grób; ale klasztor, to Kościół, a Kościół, choć bardzo niesprawiedliwie, nie chce mnie przyjąć) pragnę, powiadam wam, aby położono mi na grobie te słowa: *Veritatem dilexit*. Tak, kochałem prawdę; szukałem jej; szedłem za nią, dokąd mnie tylko wzywała, bez względu na ciężkie poświęcenia, których żądała odemnie. Zerwałem najdroższe węzły, by jej być posłusznym, i jestem pewien, że dobrze zrobił. Tłumaczę się z tego w następujący sposób:

„Nikt nie jest pewny, że zdoła rozwiązać zagadkę świata, a nieskonieczność, która nas otacza zewsząd, nie znosi żadnej formułki, żadnego ograniczenia, w które pragnęlibyśmy ją zamknąć. Ale jest przecież jedno, co się może utrzymać: to szczerść serca, poświęcenie dla prawdy, i poczucie tych ofiar, któreśmy dla niej ponieśli. Świadectwo tego na Sądzie Ostatecznym poniosę jasno i silnie wyryte na czole mojem.

„Co do tego byłem prawdziwym Bretończykiem. My jesteśmy narodem prostaczków, który w prostocie swojej wierzy w prawdę i dobro; my, skoro mamy zaspokojone potrzeby nasze, i choć malutką cząstkę ideału, jesteśmy najszcześliwsi z ludzi. Służy to do czegoś lepszego, niż robienie majątku: daje to szczęście człowiekowi... Tak, nasza wesołość jest skutkiem naszej zacności. W tych czasach, gdy plaga powszechną jest wstręt do życia, my wierzymy głęboko, że życie warte jest, abyśmy do jego celów dążyli stale.

„Wierząc doświadczeniu waszego współrodaka, który opuścił was młodym, a powraca starym, napatrzwszy się na różne światy. Nie nauczy on was sztuki robienia majątku, ani też, jak to powiadają zwykle, sztuki robienia kariery; specjalność ta jest mi dosyć obcą. Ale, dochodząc do końca już mojego życia, mogę wam powiedzieć słówko o sztuce, w której mi się doskonale udało—o sztuce, która uczy, jak być szczęśliwym. Otóż na to niema wcale bardzo licznych recept; jest w rzeczy samej jedna tylko: nie szukać szczęścia, ale dążyć stale do celu bezinteresownego, którym być może: nauka, sztuka, dobro bliźnich naszych i służba dla Ojczyzny. Z wyjątkiem małej bardzo liczby istot, niema wcale ludzi zupełnie pozbawionych szczęścia. Z małym bardzo wyjątkiem, szczęście nasze jest zwykle w naszych rękach.

„Oto jest owoc mego doświadczenia. Daję go wam, nie przesadzając wcale jego wartości. Zawszem miłowałem życie; koniec jego będę widział bez smutku, ponieważ życia samego użyłem w pełni. Umrę, pozdrawiając młodych, bo dla nich życie stoi otworem, a rzecz to wyborna.

„Dziękuję wam raz jeszcze, drodzy przyjaciele; dzięki wam, to nasze zebranie odmłodziło mnie dzisiaj!”

Wśród tych rzewnych i serdecznych wspomnień lat młodych zdaje się nam, że braknie jednego jeszcze, na którym, pewien jestem, że myśl wzruszonego mówcy zatrzymała się niewątpliwie, chociaż nie uważał on za stosowne, wyrazić go słowem. Jestto wspomnienie tej młodzieńczej towarzyski, przyjaciółki lat dziecinnych, tej pięknej Noémi, której imię nosi dziś córka p. Renana, jakby pogrobową spuściznę pierwszego uczucia. Oto jest ten delikatny, a tak mistrzowski szkic, tej powabnej postaci, który znajdujemy we *Wspomnieniach młodości*.

„Zbyt wczesne upodobanie do dziewcząt było żywe we mnie. Przenosiłem je daleko nad chłop-

ców. Ci mnie nie lubili; mój układ delikatny oburzała ich. Nie mogliśmy bawić się razem; nazywali mnie: *Pamienką*; nie było psikusa, którego mi nie wyrządzali przy okazji. Przeciwnie, z dziewczętami mojego wieku godziłem się zawsze wybornie; one widziały, że był spokojny i rozsądny. Miałem wówczas lat dwanaście, albo trzynaście, i nie zdawałem sobie wcale żadnego rachunku z uczucia, które mnie ciągnęło ku nim.

„Pomiędzy temi małemi towarzyszkami, mówiłem już, iż była jedna, która miała dla mnie szczególny wdzięk przypodobania się. Na imię jej było Noémi. Był to malenki wzór wdzięku i grzeczności. Oczy jej były niesłychanej łagodności, z wyrazem dobroci i rozumu. Włosy miała płowe, zachwycającej barwy. Mogła być ona wówczas dwa lata starszą odemnie, a sposób, w jaki rozmawiała ze mną, był zarazem jakby radą starszej siostry i zwierzeniem się dziecinem.

„Dziś jeszcze nie mogę usłyszeć bez wzruszenia serca jednej z tych piosenek, które Noémi zwykła była śpiewać. Zapewne, gdyby nie te kleszcze, które mnie już cisnęły we dwa lub trzy lata później, byłbym niezawodnie pokochał Noémi. Ale byłem już poświęcony rozumowaniu, a dyalektyka religijna pochłaniała mnie już całego wówczas. Powódź abstrakcyi, która mi zalewała głowę, czyniła mnie roztargnionym i nieprzytomnym na wszystko. Byłem oszołomiony.

„Szczególniejsza wada, która przytem miała mi nieraz zaszkodzić w życiu, przerwała to pierwsze uczucie i kazała mu zejść z mej drogi. Niepewność w postanowieniu jest często powodem, iż się daje wprowadzić w położenie pełne sprzeczności....

Ta wada charakteru skomplikowała się jeszcze w tej okoliczności pewnym przymiotem mojego serca, który mnie naraził nieraz w życiu na takie niekonsekwencje, jakbym był najgorszym. Pomiędzy owemi dziećmi była dziewczynka, mniej ładna niż Noémi, dobra, grzeczna, potulna, ale mniej poszukiwana i pieszczona od tamtej. Do mnie tuliła się widocznie i nawet była zazdrosną nieraz. Zasmucić kogoś było zawsze niepodobniństwem dla mnie! Obcowałem więc częściej z tą, którą mniej przecież kochałem, niż Noémi, bo widziałem ją smutną. Tak więc skrzyżowałem sobie pierwszą miłość; jak później miałem, najniezręczniejszej w świecie, skrzyżować sobie politykę.

Daliśmy tu miejsce tym *Wspomnieniom młodości Renana*—i jego ostatniej, przyjacielskiej pogadance; bo jedno i drugie daje wyborną charakterystykę tego humanisty.

OD WYDAWCY.

„Bluszcz“ w przyszłym kwartale wychodzić będzie pod dotychczasową redakcją.

Szanownym prenumeratorom z prowincyi przypominamy wczesne wznowienie prenumeraty, dla uniknienia zwłoki w przesyłce numerów.

Do dzisiejszego numeru *Bluszczu* dołącza się arkusz 6-ty powieści pod tyt.: **Dwie**.

TREŚĆ. Po wakacjach przez Maryą Ilnicką.— W okrutnej chwili, (poezya), przez M. I.— Wystawa edukacyjna międzynarodowa i kongres edukacyjny w Londynie, (dokończenie).— Przez kobietę, nowella, (dalszy ciąg), przez Michała Wołowskiego.— Listy z Magdeburga IV, J. I. Kraszewskiego.— Kronika działalności kobiecej.— Nowiny paryżkie (dokończenie).

Dodatek obejmuje: 6-ty arkusz powieści p. t.: *Dwie*, przez M. Georgianę Craik.— Przegląd mód.— 29 wzorów ubiorów i robót wraz z opisem.— Sekreta gospodarskie.— Dyspozycją stołu.